



AUTORKA NIEZWYKŁEGO
ŻYCIA VIOLETTE

ZAPOMNIANE NIEDZIELE

PRZEKŁAD
JOANNA PRĄDZYŃSKA

VALÉRIE
PERRIN

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LES OUBLIÉS DU DIMANCHE

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Joanna Prądzyńska 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcia na oklejce: © Hayden Verry/Arcangel Images (*mewy*);
pikisuperstar/Freepik (*liście i kwiaty*); liligraphie/Freepik (*rękopisy*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



I

Poszłam do starego Prosta kupić zeszyt. Wybrałam niebieski. Nie chciałam pisać powieści o Hélène na komputerze, bo chcę mieć ją zawsze przy sobie, w kieszeni fartucha.

Wróciłam do domu. Na okładce napisałam: *Pani z plaży*. A na pierwszej stronie:

Hélène Hel urodziła się dwa razy: dwudziestego kwietnia 1917 roku w Clermain w Burgundii i późną wiosną 1933 roku, gdy spotkała Luciena.

Wsunęłam niebieski zeszyt pod materac, jak na czarno-białych filmach, które dziadek ogląda w niedzielę wieczorem w *Cinéma de minuit*.

A potem wróciłam do pracy, bo miałam dyżur.

2

Nazywam się Justine Neige. Mam dwadzieścia jeden lat. Od trzech pracuję jako opiekunka w domu spokojnej starości Pod Hortensjami. Takim instytucjom często nadawane są nazwy nawiązujące do drzew: Pod Lipami albo Pod Platanem. Ten dom został zbudowany na zboczu porośniętym hortensjami, nie szukano więc dalej, mimo że stoi pod lasem.

Mam dwie pasje: muzykę i ludzi w starszym wieku. I prawie co trzecią sobotę tańczę w klubie Raj, trzydzieści kilometrów od Hortensji. Raj jest sześcianem ze zbrojonego betonu postawionym pośrodku łąki, z zaimprovizowanym naprędcie parkingiem, na którym czasami zdarzają mi się gdzieś o piątej nad ranem pijane pocałunki.

Bardzo lubię mojego brata Jules'a (tak naprawdę to kuzyn) i dziadków, rodziców mojego zmarłego ojca. Jules jest jedyną młodą osobą, z którą miałam do czynienia w dzieciństwie w domu rodzinnym. Gdyby nie on, wzrastałabym wśród starych ludzi. Przeskoczyłam od razu do dorosłości.

Dzielę swoje życie na trzy części: w ciągu dnia opiekuję

się starymi ludźmi, w nocy poprawiam ich opowieści, które naprędce zapisałam, a w soboty wybieram się na tańce, jakoś uzupełnić zapasy beztroski utraconej w 1996 roku z powodu ludzi w średnim wieku, czyli rodziców, moich i Jules'a, którzy wpadli na straszny pomysł, by w niedzielny poranek zginąć razem w wypadku samochodowym. Widziałam krótki artykuł wycięty przez babcię z gazety. Był dobrze schowany... ale nie przed kimś, kto chciał go znaleźć. Widziałam też zdjęcie rozbitego auta.

Przez nich ja i Jules musieliśmy spędzać wszystkie niedziele na naszym cmentarzu i zanosić tam świeże kwiaty. Na dużym grobie stoją zdjęcia ślubne mojego ojca i wujka, w ramach ozdobionych aniołkami. Jedna panna młoda jest blondynką, druga brunetką. Brunetka to moja mama, blondynka to mama Jules'a. Ich mężowie wyglądają na fotografiach identycznie. Mają takie same garnitury, takie same krawaty i takie same uśmiechy. Ojciec i wujek byli bliźniakami. Jak to możliwe, że dwóch na pozór identycznych mężczyzn mogło się zakochać w tak różnych kobietach? I jak dwie tak różne kobiety mogły się zakochać w identycznych facetach? Zadaję sobie te pytania za każdym razem, gdy wchodzę na cmentarz. Nikt mi nigdy nie odpowiada. Może jestem smutna dlatego, że Christian, Sandrine, Alain i Annette Neige'owie wciąż milczą jak zakłęci.

Na cmentarzu w naszym miasteczku leżą w większości ci, którzy zmarli dawno temu. Nowych umieszcza się w mniejszych grobach nieco z boku. Jakby spóźnili się na przyjęcie. Moi rodzice spoczywają w najdalszej części cmentarza,

pięćset metrów od domu dziadków.

Miasteczko nazywa się Milly. Ma około czterystu mieszkańców. Żeby znaleźć je na mapie, trzeba wziąć lupę. Przy dość dużym placu w centrum stoi mały romański kościółek. Na głównej ulicy, rue Jean-Jaurès, jest sklep spożywczy starego Prosta, bar, w którym można robić zakłady w wyścigach konnych, warsztat samochodowy, a kiedyś był fryzjer, lecz w zeszłym roku zamknął interes, bo miał dość farbowania i nawijania włosów na wałki. Sklepy z odzieżą i kwaciarnie zostały zastąpione przez kilka banków i laboratorium medyczne.

Puste witryny zaklejono gazetami, a w domach, do których wprowadzili się lokatorzy, powieszono białe firanki.

W Milly jest prawie tyle samo domów z wywieszką NA SPRZEDAŻ, co zamieszkanym. Niewielu trafia się chętnych na zakup nieruchomości, bo najbliższa autostrada odległa jest o siedemdziesiąt kilometrów, a najbliższy dworzec kolejowy o pięćdziesiąt.

Ostała się jeszcze szkoła podstawowa. Ta, do której chodziłam z Jules'em.

Do gimnazjum, liceum, do lekarza, do apteki czy po parę butów trzeba jechać autobusem.

Odkąd fryzjer wyjechał, robię babci fryzurę sama. Z mokrymi włosami siedzi w kuchni i podaje mi wałki. Nawijam na nie pasma siwych włosów, a potem przebijam każdy plastikową szpilką, żeby się trzymał. Nakładam na jej głowę siatkę, babcia siada pod suszarką i po pięciu minutach zasypia. Gdy włosy są suche, wyjmuję z nich wałki, czeszę ją i

fryzura trzyma się do następnego tygodnia.

Nie pamiętam, żeby od śmierci rodziców kiedykolwiek było mi w domu zimno. Jest w nim zawsze co najmniej czterdzieści stopni. A zanim umarli? Tego nie pamiętam. Ale o tym opowiem później.

Ja i brat chodziliśmy w ubraniach niemodnych, ale wygodnych, pranych zawsze z dodatkiem płynu do płukania. Nikt nie podnosił na nas ręki, nie dostawaliśmy klapsów; w piwnicy stała konsola do miksowania i leżały stare winyle, na wypadek gdybyśmy mieli dość ślizgania się na kawałkach filcu po wypastowanej podłodze.

Zawsze chciałam chodzić późno spać, mieć brudne paznokcie i wałęsać się po polach, odrapując sobie kolana, albo zjeżdżać z góry na rowerze z zamkniętymi oczami. Chciałam, żeby mnie bolało albo żebym zsikała się w łóżku. Ale z naszą babcią nie było to możliwe.

Przez całe nasze dzieciństwo zawsze miała pod ręką butelkę z jodyną, czyściła nam porządnie uszy bawełnianymi wacikami, szorowała nas dwa razy dziennie rękawicą kąpielową i surowo zabraniała wszystkiego, co mogło być niebezpieczne, jak przechodzenie samemu przez drogę. Myślę, że od chwili, gdy zginęli jej synowie, wyczekiwała dnia, w którym Jules i ja w końcu się do nich upodobnimy. Tylko że to nie nastąpiło. Jules jest podobny do Annette, natomiast ja... Ja nie jestem podobna do nikogo.

Nasi dziadkowie, mimo że zwracamy się do nich „dziadku” i „babciu”, są młodszy od większości pensjonariuszy domu Pod Hortensjami. Ale tak naprawdę nie wiem, kiedy jest się

starym. Pani Le Camus, moja szefowa, mówi, że starość zaczyna się wtedy, gdy człowiek nie jest już w stanie zająć się własnym domem albo gdy musi zostawić samochód w garażu, bo stał się niebezpieczny dla innych, a kończy, kiedy łamie mu się kość biodrowa. Ja uważam, że starość zaczyna się od samotności. W chwili, gdy odchodzi partner. Do nieba albo do kogoś.

Moja koleżanka Jo twierdzi, że oznaką starości jest głędzenie i że jest ono chorobą, na którą można zachorować w bardzo młodym wieku. Inna koleżanka, Maria, mówi, że starość zaczyna się wówczas, kiedy człowiek nie słyszy dobrze albo kiedy dziesięć razy dziennie szuka kluczy.

Ja mam dwadzieścia jeden lat i już szukam kluczy dziesięć razy dziennie.

3

1924

Hélène do późnej nocy szyje przy świecach w pracowni krawieckiej rodziców.

Dorasta samotnie, pośród garniturów i sukien. Bez brata, bez siostry.

Na ścianie pracowni robi dla zabawy chińskie cienie. Zawsze takie same. Składa dłonie tak, że rzucają cień w kształcie ptaka, który je z ręki. Dziób robi prawym palcem wskazującym. Ptak jest podobny do mewy. Kiedy ma się zerwać do lotu, dziewczynka łączy kciuki obu rąk i macha rozłożonymi palcami jak skrzydłami. Ale zanim ptak pofrunie, Hélène zmawia modlitwę, zawsze tę samą, żeby zaniósł ją do nieba, do Boga.

4

- Babciu?
- Hm...
- Wtedy, tego dnia, kiedy mama i tata się zabili... Dokąd jechali?
- Na chrzciny.
- Czyje?
- Synka przyjaciela z dzieciństwa twojego taty.
- Babciu?
- Co znowu?
- Dlaczego mieli wypadek?
- Mówiłam ci już sto razy. Na drodze był lód. Samochód musiał wpaść w poślizg. Wpadli na drzewo... Gdyby tam nie rośło, nigdy by... Nie mówmy już o tym.
- Dlaczego?
- Dlaczego co?
- Dlaczego nigdy nie chcesz o tym mówić?

5

Zaczęłam lubić starszych ludzi, kiedy nauczycielka francuskiego, pani Petit, zabrała naszą klasę, drugą gimnazjalną, na całe popołudnie do domu starców Pod Trzema Sosnami (wtedy w Milly nie było jeszcze Hortensji). Po obiedzie w stołówce wsiedliśmy do autobusu i jechaliśmy niecałą godzinę, a ja w tym czasie – pamiętam to – dwa razy zwymiotowałam do papierowej torebki.

W domu Pod Trzema Sosnami starzy ludzie czekali na nas w sali jadalnej. Pachniało zupą i eterem i znowu zrobiło mi się niedobrze. Kiedy witaliśmy się z pensjonariuszami, musiałam wstrzymać oddech, w dodatku kłuł mnie zarost mężczyzn.

Moja klasa przygotowała występ: mieliśmy śpiewać *Gimme! Gimme! Gimme!* Abby. Mieliśmy na sobie kostiumy z białej lycry i peruki wypożyczone ze szkolnego kółka teatralnego.

Po występie usiedliśmy wszyscy do podwieczorku, na który podano naleśniki. Wszyscy pensjonariusze trzymali w zaciśniętych lodowatych dłoniach papierowe serwetki i

opowiadali nam różne historie. Właśnie wtedy poczułam do nich sympatię. Staruszki i staruszkowie nie mają nic do roboty, opowiadają więc o przeszłości jak nikt. Nie trzeba już czytać książek i oglądać filmów. Wystarczą ich opowiadania.

Tamtego dnia zrozumiałam, że starych dusz wystarczy dotknąć, wziąć je za rękę, żeby zaczęły opowiadać. Słowa wylewają się z nich jak woda, którą wciąż podchodzi dół wykopany w piasku nad brzegiem morza.

Mam Pod Hortensjami ulubienicę, Héléne. To pani z pokoju numer 19. Dzięki niej czuję się tak, jakbym cały czas była na wakacjach. A jeśli się zna codzienność opiekunki na oddziale geriatrici, można powiedzieć, że wakacje są naprawdę luksusem.

Personel nazywa ją Panią z Plaży. Kiedy zaczęłam tu pracować, dowiedziałam się, że Héléne spędza całe dni na plaży pod parasolem. Podobno kiedy zjawiała się Pod Hortensjami, na dachu budynku mewa uwiła gniazdo, choć w okolicy w ogóle nie ma mew. To środek Francji. Kosy, wróble, kruki, szpaki – tych ptaków jest pełno, ale mew nie ma. Z wyjątkiem tej, która mieszka nad nami.

Héléne to jedyna mieszkanka tego domu, do której zwracam się po imieniu.

Codziennie po porannej toalecie sadzamy ją na fotelu pod oknem. Przysięgam, że nie patrzy na dachy domów w Milly, lecz na coś fantastycznie pięknego, na przykład na błękitny uśmiech nieba. Jej jasne oczy – podobnie jak oczy innych mieszkańców Hortensji – są wyblakłe jak sprane prześciera-dło. Mimo to gdy mam chandrę, modłę się, by życie otworzyło

nade mną parasol jak nad nią. Jej parasol ma na imię Lucien. Lucien był jej mężem... prawie mężem, bo go nie poślubiła. Opowiedziała mi całe swoje życie, choć w formie rozsypanej układanki. Jak gdyby dała mi w prezencie najpiękniejszy przedmiot ze swojego domu, ale przedtem rozbiła go niechcący na tysiąc kawałków.

Od kilku miesięcy mniej mówi, jakby pieśń jej życia była cichnącym powoli ostatnim utworem na płycie.

Zanim wychodzę z jej pokoju, zawsze okrywam jej nogi pledem, a ona mówi: „Dostanę udaru słonecznego”. Héléne nigdy nie jest zimno. Nawet w styczniu pozwala sobie na luksus wygrzewania się na słońcu, podczas gdy wszyscy pozostali szukają ciepła starych kaloryferów Pod Hortensjami.

Znam tylko jednego członka jej rodziny: córkę, Rose, która jest malarką i ilustratorką. Ściany pokoju Héléne są pokryte rysunkami Rose, przedstawiającymi morze, porty, ogrody i kwiaty, a także portretami rodziców, wykonanymi węglem. Rose mieszka w Paryżu. W każdy czwartek przyjeżdża pociągiem i na dworcu wynajmuje samochód, żeby dotrzeć do Mily. Wszystkie wizyty przebiegają tak samo. Héléne patrzy na nią z daleka, z miejsca, w którym właśnie przebywa.

- Kim pani jest?
- To ja, mamó.
- Nie rozumiem, proszę pani.
- To ja, mamó, Rose.
- Niemożliwe... Moja córka ma dopiero siedem lat i właśnie wyszła z ojcem. Poszli popływać.
- Ach... poszła popływać.

- Tak, z ojcem.
- Wiesz, kiedy wrócą?
- Niedługo. Czekam na nich.

Potem Rose otwiera książkę i czyta fragmenty na głos. Często są to romanse. Zostawia mi je potem. W ten sposób dziękuje mi za to, że opiekuję się jej matką jak własną.

Najbardziej szalony rozdział w moim życiu zaczął się w ten czwartek koło trzeciej po południu. Pchnęłam drzwi pokoju 19 i zobaczyłam go, siedzącego obok fotela Hélène. Portrety Luciena na ścianie... To był on. Stałam jak idiotka i patrzyłam na nich; nie śmiałam się ruszyć. Lucien trzymał dłoń Hélène. Ona miała dziwny wyraz twarzy; jeszcze jej takiej nie widziałam. Jakby zrobiła cudowne odkrycie. On uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Dzień dobry, to pani jest Justine?

Coś takiego, zna moje imię, pomyślałam. Chociaż nic w tym dziwnego – duchy muszą znać imiona żywych. I pewnie wiedzą mnóstwo rzeczy, o których my nie mamy pojęcia. Ale przede wszystkim wreszcie zrozumiałam, dlaczego Hélène wciąż czeka na niego na plaży. Rozumiem, dlaczego zatrzymała czas.

Pewne rzeczy rozumie się od razu: musiał być dla niej kimś takim jak przysłana przez życie wielka paczka ze wszystkim, czego pragnęła.

To spojrzenie... Nigdy nie widziałam czegoś tak niebieskiego. Nawet w starych katalogach sprzedaży wysyłkowej, które gromadziła moja babcia.

- Przyszedł pan po Hélène? – wyjąkałam.

Nie odpowiedział. Hélène również milczała. Tylko na niego patrzyła; jej wyblakłe oczy wyglądały teraz zupełnie inaczej.

Podeszłam i pocałowałam ją w czoło. Była jeszcze cieplejsza niż zwykle. *Deszczyk pada, słońce świeci, Baba Jaga masło kleci...* Tak właśnie się czułam, w mojej głowie świeciło słońce, a jednocześnie była ulewa. Oto ostatni raz widzę Hélène, bo jej ukochany wreszcie wyszedł z wody, żeby zabrać ją ze sobą do raju.

Wzięłam ją za rękę.

– Weźmiecie ze sobą mewę? – spytałam Luciena ze ściśniętym gardłem.

Gdy na mnie spojrzał, zorientowałam się, że nie wie, o co chodzi. Bo nie był duchem.

Ogarnęło mnie przerażenie. Ten człowiek naprawdę istniał. Odwróciłam się i uciekłam jak złodziejka.

6

Lucien Perrin urodził się w Milly dwudziestego piątego listopada 1911 roku.

W jego rodzinie z ojca na syna przychodzą na świat niewidomi. To choroba genetyczna, która dotyka tylko mężczyzn. Dziecko po urodzeniu widzi, a potem powoli traci wzrok. Problemy zaczynają się w dzieciństwie i od pokoleń żaden mężczyzna z Perrinów nie zobaczył dwudziestu świeczek na swoim urodzinowym torcie.

Ojciec Luciena, Étienne Perrin, spotkał żonę, Emmę, jako małą dziewczynkę. Poznał ją, gdy jeszcze widział, lecz mgła powoli zasnuwała mu oczy i obraz Emmy znikł. Kocha ją taką, jaką pamięta.

Próbował wszystkiego, żeby ocalić wzrok. Wpuszczał do oczu wszystko, co mógł: eliksiry, wody źródlane z Francji i z zagranicy, rozpuszczone magiczne proszki, wywar z pokrzywy, rumianek, wodę różaną i chabrową, lodowatą i ciepłą, roztwór soli, herbatę, wodę święconą.

Lucien przyszedł na świat przez przypadek. Étienne nie chciał mieć dzieci, ponieważ bał się, że klątwa przejdzie na następne pokolenie. Kiedy dowiedział się, że urodziła się nie córka, lecz syn, który

tylko krótko miał widzieć światło dnia, ojciec wpadł w rozpacz.

Emma opisała mu synka: czarne włosy i wielkie niebieskie oczy.

Nikt w rodzinie Perrinów nie miał niebieskich oczu. Wszystkie noworodki miały je tak czarne, że nie dało się odróżnić źrenicy od tęczówki. Z czasem jaśniały i stawały się szare jak gruba sól.

Étienne zaczął mieć nadzieję, że niebieskie oczy Luciena ustrzegą go przed klątwą.

Tak jak jego ojciec, dziadek i pradziadek był organistą. Posyłano po niego, żeby grał Bacha podczas mszy i żeby stroił wszystkie okoliczne organy.

Poza tym uczył się alfabetu Braille'a. Książki przygotowuje dla niego kuzyn, który też nie widzi, w małej pracowni w piątej dzielnicy Paryża.

Któraś ranka 1923 roku Emma odeszła od Étienne'a. Nawet nie słyszał, jak cicho zamykała drzwi. W tym momencie był u niego uczeń. Étienne nie słyszał też głosu mężczyzny, który czekał na jego żonę na chodniku naprzeciwko. Lucien natomiast widział, jak matka odchodzi.

Nie starał się jej zatrzymać. Myślał, że niedługo wróci. Że ten pan w pięknym samochodzie zabrał ją na przejażdżkę i że nie ma w tym nic dziwnego. Bo przecież ojciec nie mógłby sprawić żonie takiej przyjemności. Mama ma prawo trochę się zabawić.

7

Kiedyś, dawno temu, babcia miała skłonności samobójcze. Przez miesiąc albo nawet dłużej wszystko było dobrze, a potem nagle połykała trzy opakowania tabletek, wkładała głowę do piecyka gazowego, rzucała się z pierwszego piętra lub próbowała powiesić się w schowku na miotły. Mówiła nam: „Dobranoc, kochani!”, a dwie godziny później do pokoju, w którym Jules i ja już zasypialiśmy, dochodziło wycie syren pogotowia ratunkowego i hałasy wpadających do domu pielęgniarzy.

Próby samobójcze podejmowała zawsze nocą, jakby czekała, aż wszyscy zasną. Z pewnością nie przyszło jej do głowy, że dziadek, który bez przerwy gubił okulary, często nie mógł zasnąć.

Ostatni raz próbowała się zabić siedem lat temu. Udało jej się skłonić lekarza na zastępstwie, by wypisał jej receptę na dwa opakowania środków uspokajających. Musiał przeczytać w jej dokumentach notatkę, mimo że była napisana czerwonym flamastrem: *Przewlekła depresja, skłonność do prób*

samobójczych. Wszystkie okoliczne apteki wiedzą, że babci nie wolno wydać żadnych lekarstw, jeśli nie towarzyszy jej dziadek.

Stary Prost wie również, że nie wolno jej sprzedawać trutki na szczury, środków do udrażniania rur kanalizacyjnych i jakichkolwiek substancji żrących. Babcia czyści cały dom octem, i to nie z powodów ekologicznych, ale dlatego, że boimy się, że wypije płyn do naczyń lub środek do czyszczenia piecyka.

Ostatnim razem niewiele brakowało, a umarłaby. Ale kiedy zobaczyła łzy Jules'a (ja byłam w takim szoku, że nawet nie mogłam płakać), obiecała, że już nigdy nie będzie próbowała się zabić. Mimo to w apteczce w łazience nie trzymamy spirytusu salicylowego ani żyletek.

Czasem chodziła do psychoterapeuty. Ponieważ najbliższy gabinet znajduje się jednak pięćdziesiąt kilometrów od Milly i na wizytę czeka się kilka miesięcy, babcia twierdziła, że prościej będzie spotkać się z psychiatrą po śmierci, w raju, i przysięgała, że do tego czasu nie będzie podejmowała żadnych starań, żeby przenieść się na tamten świat. „Obiecuję wam, dzieci, przysięgam. Umrę śmiercią naturalną, jeśli coś takiego istnieje”, mówiła. Tylko do nas, wnuków, nigdy nie do męża.

Dziesięć lat po śmierci moich rodziców zeskoczyła z miejsca znajdującego się trochę wyżej niż zwykle i zgruchotała sobie kość biodrową. Przez to trochę kuleje i musi chodzić o lasce.

Właśnie zdjęłam z jej głowy wałki i uczesałam ją. Jules

siedzi obok w kuchni i je kanapkę z nutellą. Dziadek przy stole przegląda „Paris Match”. W jadalni ryczy telewizor nastawiony tak głośno, że nic nie można zrozumieć.

– Dziadku, znałeś Hélène Hel? – pytam.

– Kogo?

– Hélène Hel. Tę panią, która prowadziła bistro starego Louisa do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku.

Dziadek, smutny i ponury, zamyka pismo. Cmoka i mówi powoli, niewyraźnie wymawiając „r”, jak to w naszej okolicy:

– Nigdy nie łąziłem po żadnych bistrach.

– Musiałeś tamtędy przechodzić co rano, idąc do fabryki!

Mruczy coś pod nosem. O ile po śmierci rodziców moich i Jules’a babcia między kolejnymi próbami wyprawienia się na tamten świat starała się dostrzec w naszych twarzach rysy synów bliźniaków, o tyle dziadek od dnia, gdy się zabili, przestał czegokolwiek oczekiwać. Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał, chociaż na zdjęciach z dzieciństwa mojego ojca i wujka Alaina jest w kolorowych koszulkach i śmieje się. Zostało mu niewiele włosów, a kiedy w którąś lipcową niedzielę we trzech wbiegali na pobliskie wzgórze, miał piękną czuprynę. Na odwrocie mojego ulubionego zdjęcia jest napisane: *Lipiec 1974*. Dziadek miał wtedy trzydzieści dziewięć lat, gęste czarne włosy, czerwony T-shirt, a na twarzy uśmiech jak z reklamy. Dziadek jako ojciec był naprawdę piękny. Jedyne, co zostało mu z młodości, to sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Jest wysoki jak wieża.

Wraca do „Paris Match”. Co on z tego rozumie? A przede wszystkim – co go to wszystko obchodzi? Żyje w swoim

świecie, daleko od nas, daleko od wszystkiego. Daleko od samego siebie. Czy w ogóle odróżniłby trzęsienie ziemi w Chinach od trzęsienia ziemi w swojej kuchni?

– Pamiętam jej psa, wyglądał jak wilk – mówi.

Wilczyca... Dziadek pamięta Wilczycę!

– Pamiętasz go! Więc musisz pamiętać Hélène!

Wstaje i wychodzi z kuchni. Nienawidzi, jak go wypytuję. Nienawidzi swojej pamięci. Ta pamięć to jego dzieci; pogrzebał ją razem z nimi i rzucił na trumnę, kiedy zjeżdżała w dół.

Mam ochotę zapytać go, czy pamięta mewę, która zjawiała się w naszym miasteczku, kiedy był mały. Ale z góry wiem, co by mi odpowiedział: „Mewa? Jak mogę pamiętać jakąś mewę? Tutaj ich nie ma”.

8

W dzień Pański stara szkapą Bijou wozi Luciena i jego ojca do Tournus albo do Mâcon, Autun czy Saint-Vincent-des-Prés, czasami do Chalon-sur-Saône, zależnie od pory roku.

W zimie jest więcej pogrzebów, a mniej ślubów.

Syn towarzyszy ojcu, gdy ten zasiada przy największych organach w całym regionie. Syn stał się jego białą laską, prowadzi go i sadza przy klawiaturze. Wcześniej robiła to Emma, matka, która nie wróciła z wycieczki samochodem.

Lucien bierze udział w mszach, ślubach, chrzcinach i pogrzebach.

Étienne gra albo stroi instrument, a jego syn stoi obok i obserwuje rozmodlony i rozśpiewany tłum. Jest niewierzący. Dla niego religia to piękna muzyka. I służy do zniewolenia ludzi. Nigdy nie śmiał powiedzieć tego ojcu i bez protestów co wieczór odmawia pacierz.

Ojciec nie chce go uczyć ani brajla, ani muzyki. Boi się, że przyniesie mu to pecha. Błaga Luciena, by robił wszystko to, czego nie może robić niewidomy, i w ten sposób zaklął groźbę ślepoty. Odpędził

ją. Więc dla spokoju ojca chłopiec jeździ na rowerze, biega i pływa.

Chodzi do szkoły, uczy się czytać i pisać jak inne dzieci. Ale ma wrażenie, że przyjdzie dzień, gdy to się skończy, więc w tajemnicy przed ojcem słucha lekcji, które ten daje uczniom, i uczy się brajla.

Gdy ma jakieś trzynaście lat, jedzie z ojcem do Paryża, do jego kuzyna, po nowe podręczniki. Podczas pobytu w stolicy odwiedzają lekarza specjalistę. Ten długo bada mu dno oczu i kategorycznie stwierdza, że Lucien nie odziedziczył oczu po ojcu, lecz po matce. Étienne szaleje z radości, a syn tylko udaje, że się cieszy.

Jest przekonany, że przyjdzie dzień, gdy on też będzie chodził z białą laską. Właśnie dlatego mama odeszła. Przyjdzie dzień, gdy ludzie nie będą o nim mówili „syn tego niewidomego”, ale „niewidomy” i stanie się zależny od kogoś, kto będzie musiał wszystko za niego robić. Dlatego nic nikomu nie mówił, nauczył się brajla.

Po tym, jak matka ich zostawiła, Lucien robi wszystko z zamkniętymi oczami. Szoruje garnki, myje podłogi, przynosi wodę ze studni, piele ogródek, chodzi do warzywnika, rąbie drewno, nosi butelki, wchodzi i schodzi po schodach. W domu, w którym mieszka z ojcem, zawsze panuje półmrok. Chłopiec zaszuwa zasłony bardzo cicho, bo nie chce, żeby ojciec to usłyszał. W domu umierają więc wszystkie rośliny. Brakuje światła.

Po powrocie z Paryża z walizkami pełnymi nowych książek pisanych brajlem Lucien podkrada je ojcu i nigdy już nie zmieni tego zwyczaju.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).